

TEATR

Gdybyśmy dzisiaj rozpisali ankietę-referendum (a jest to ostatnio modne!) na temat: co wiesz o Paulu Claudel? — śmiem twierdzić, że większość odpowiedzi pozostałaby... bez odpowiedzi. Jedynie wśród znawców powieści i teatru nazwisko francuskiego pisarza (1888—1955) kojarzyłoby się z konkretnymi tytułami dzieł poetyckich oraz mało grywanymi u nas dramata. Te ostatnie zresztą omijały skrzętnie krakowskie sceny przez 36 lat...

A przecież Paul Claudel: członek Akademii Francuskiej, dyplomata bywały w świecie, filmowy poeta i dramaturg, któremu uczeń w piśmie przypisują rolę twórcy "teatru totalnego", mógłby śmiało pretendować u progu naszego stulecia do miana duchowego ojca Becketta, czy Ionesco. Gruntownie wykształcony na wzorach kultury klasycznej, umiał połączyć prawie wszystkie techniki teatru i dramaturgii dla wprzeżnięcia ich we własne wiązki. Głównie w walkę namiętności, demonów w duszy ludzkiej (i ciele) — patrzac na to przez pryzmat nieba i piekła. Dosłownie oraz w przenośni. Między Biblią i tragediami greckimi, a moralitetem współczesnym. W muzycznym rytmie, w gładkości strojów i baroku języka.

Nie jest to literatura — wbrew pozorom prostej anegdotyczności dramatów — ani lekka, ani łatwa. Nie ma też owych aluzyjnych odniesień, które wprowadzałyby współczesnego widza w stan ekstazy przy pomocy nachalnych

jest w dramaturgii Claudela specyficzna atmosfera moralna, szukanie prawdy i wolności osobistej w gąszczu powszechnego zakłamania oraz zniewolenia człowieka przez ucisk i pieniądze, co w sumie nadaje jej wymiary ponadczasowe. I wartość filozoficzno-społeczną, o której nigdy nie wolno zapominać.

Piszę te słowa w związku ze sztuką „ZAMIANA” (w pięknym tłumaczeniu Jarosława Iwaszkiewicza) wystawioną na scenie „NURT” TEATRU LUDOWEGO w Nowej Hucie. Fabułę tego utworu można by sprowadzić w sposób uproszczony do faktu sprzedawcy żony przez męża bogaczowi, za dolary — bo rzecz dzieje się w Ameryce ub. wieku — i za iluzję wolności, acz przy boku „odstąpionej” żony bogacza. Sprawa jednak ma bardziej skomplikowane motywy. Grę namiętności z udziałem demonów. Które nawet kobietę młodą i ufną w miłość oraz zasady moralne równie młodego męża, z demona dobra czynią powolną ofiarę zła. Niby w przypowieści biblijnej i antycznych tragediach. Lub w przewrotnym moralitecie. I do tego w blasku poezji. Tej „czystej” — a także i podszycie fałszem. Jak w życiu, choć to życie stęzone w tak gęstej materii oraz ekspresji, że aż przechodzące granice prawdopodobieństwa. Ale za razem wkalkulowane przez autora w artystyczne koszty jego odczuć teatru.

A teatr to — jak nadmieniliśmy — mało dziś przystający do powszechnych wyobrażeń, żeby tworzył lustro: proste, wkleiste lub wypukłe, dla odbicia gorączkowej rzeczywistości społecznej. W sensie doraźnym, czy tylko symbolicznym.

DEMONY na arenie

szukający na scenie sublimacji przeżyć po burzliwych konfliktach, oderwie się na moment od teraźniejszości z jej podtekstami publicystycznymi oraz aluzyjną satyrą, wówczas owionie go technicznie „czystego” teatru. O dziwo, bez cukierkowych przyciśnięć lirycznych, za to w całej jasności form niemal jarmarcznych, za którymi ukrywa się wręcz kosmiczne treści. Żywiły odwiecznie władające światem i ludźmi.

Wrażenia z tego swistego cyrku życia potęguje jeszcze inscenizacja Włodzimierza NURKOWSKIEGO, wsparta scenografią Anny SEKUŁY i muzyczna oprawa Jolanty SZCZERBY-KANIK. Młody, zdolny reżyser (b. oryginalna interpretacja „Bolesława Śmiałego” Wyspiańskiego w Teatrze Ludowym) zamienił Claude-lowskie realia sceniczne (plaza, wnętrza mieszkalne) w jeden teren akcji: arenę, wypetloną pianą, w której właśnie rozgrywa dramat ludzi-dzikich zwierząt, kłownów i manekinów, z dynamiką taneczno-cyrkową. Kontrastując

jedynie karikaturne sytuacje artystyczną pozą bezruchu sprzedanej żony, bohaterki utworu — cieniowaną linią izolacji jakby na pustyni, czy w popiele jej spalonej wiary. Tyle, że unikając przerysowań w stronę mdłego sentymentalizmu. W ten sposób ucieka

natomiast gorzki smak odczłowieczenia postaci, zestawionych na pastwę instynktów. Jak w błędnym kole. A zważywszy, że znalazł jednocześnie odpowiednich wykonawców tych zadań w tocznej grze wyobrazionych namiętności — w osobach Zdzisławy WILKÓWY (piękna rola młodutkiej żony, oddana z naturalnym ciepłem, ale i pod nieostrzegalnym działaniem bakyla zła), Barbary STESŁOWICZ (demon przewrotności kobiecej pod maską wyrzadanej aktorki z tuzinkowego romansidła), Aleksandra BEDNARZA (w dojrzalej kreacji śmieszno-tragicznego „boga” o niejednoznacznym charakterze, tyleż negatywnym co pozytywnym) i wreszcie Krzysztofa J. WOJCIECHOWSKIEGO (w najtrudniejszym tu wcieleniu „dzikiego zwierzęcia” uganiającego za złudną wolnością i jej ceną pieniężną, co kończy się nie tylko osobistym dramatem) — trzeba uznać, że spektakl osiągnął niemal pełną harmonię między założeniami inscenizacyjnymi a wymową artystyczno-ideową przedstawienia. Przyczynia się to do sukcesu i Claudela, i teatru. Mogoże nie na miarę teatru ogromnego i przeciętnych oczekiwań, lecz te efekty już nie całkiem zależą od samego teatru...